LOKALNIE · OPINIA

MIĘDZYMORZE? TAK, ALE...

Jakub Siemiątkowski · 21 czerwca 2022

Idea Międzymorza – jeśli posługiwać się tym zakorzenionym w polskiej tradycji terminem – może mieć przed sobą wielką przyszłość, o ile tylko potraktujemy ją w kategoriach nie anachronicznie rozumianego, scentralizowanego bloku państw, ale perspektywy stawiającej sobie za cel realnie wzmacniać polską pozycję na arenie międzynarodowej. Istotne znaczenie ma tu zagadnienie mniejszości ukraińskiej w Polsce.

Państwa, które leżą w tym samym regionie co my, z zasady łączyć z nami będzie fakt zainteresowania w dużej mierze podobnymi wyzwaniami. W czasach, w których spójność UE czy NATO bywa kwestionowania, zyskuje to istotne znaczenie. Mocarstwa leżące w oddaleniu od naszego regionu mogą w dłuższej perspektywie stracić zainteresowanie tymi sprawami – w przypadku naszych sąsiadów tak nie będzie. Jesteśmy na nich skazani, podobnie jak na sąsiedztwo z wciąż wielokrotnie potężniejszymi od nich i od nas Rosją i Niemcami. Konieczność współpracy z narodami potencjalnie zagrożonymi przez mocarstwa nasuwa się sama.

> Hasło Międzymorza nie powinno nam się jednak dziś kojarzyć z tworzeniem zwartego, scentralizowanego bloku państw, a z całym szeregiem realizowanych w ostatnich latach (i możliwych do zrealizowania w przyszłości) projektów infrastrukturalnych i formatów multilateralnych, w których swoją istotną, nieraz najistotniejszą funkcję pełni Polska. Klamrą o nazwie idea Międzymorza spinać należy wszystkie te liczne działania i inicjatywy, które mają na celu wyzyskanie geograficznego położenia Polski w Europie Środkowo-Wschodniej oraz jej potencjału.

Międzymorze w nowoczesnym rozumieniu należy widzieć jako przestrzeń, w której Warszawa może szukać sprzymierzeńców we współpracy na wielu określonych polach. Jako region, gdzie funkcjonują formaty, których działanie może lewarować w różnych obszarach pozycję Polski. Podstawą współczesnego rozumienia idei Międzymorza powinna być jej wieloformatowość.

Międzymorze nie będzie więc zwartym blokiem państw na kształt UE, nie będzie federacją ani konfederacją, jak w różnych dawnych koncepcjach. Współpraca w regionie musi być współpracą suwerennych państw narodowych – do czego nawiążemy szerzej za chwilę – skoncentrowaną wokół konkretnych projektów bądź wspólnoty interesów na określonych odcinkach. Z jednymi krajami będzie ta wspólnota szersza, z innymi węższa – nade wszystko jednak trzeba zaznaczyć, że może się ona z różnymi państwami (i grupami państw) dokonywać na różnych polach. Z jednymi łączą nas interesy ekonomiczne, z innymi polityczne w UE, z jeszcze innymi potrzeby współpracy na polu obronności. Polska musi więc zindywidualizować swoje oczekiwania wobec nich.

CZYTAJ TAKŻE: **Duch Międzymorza rodzi się na naszych oczach**

Wyjątkowość znaczenia naszego kraju w tym kontekście polega na tym, że stanowi on spoiwo różnych, jakże odmiennych, skupiających nieraz różne grupy państw, formatów współpracy środkowoeuropejskiej: Inicjatywy Trójmorza, Grupy Wyszehradzkiej, Bukaresztańskiej Dziewiątki, a dalej Partnerstwa Wschodniego czy Trójkąta Lubelskiego. Obok Ukrainy Polska jest największym, najludniejszym, najsilniejszym militarnie w każdym z powyższych, a przy tym najsilniejszym gospodarczo.

> **Bez naszego kraju trudno myśleć o współpracy multilateralnej w Europie Środkowo-Wschodniej na dużą skalę. Polska jest geopolitycznie predestynowana by być zwornikiem Europy Środkowo-Wschodniej. Z jednej strony mamy bowiem swój żywotny interes w rozwijaniu relacji z krajami leżącymi na osi północ-południe, a z drugiej z tymi oddzielającymi nas od Rosji. Terytorium Polski spaja państwa bałtyckie, a potencjalnie nawet skandynawskie, z krajami leżącymi za Karpatami oraz z Białorusią i Ukrainą.**

Wieloformatowość nowoczesnego rozumienia idei Międzymorza ma jeszcze jedną istotną cechę. W razie zamarcia współpracy w ramach jednego z formatów – co już wielokrotnie na przestrzeni minionych dekad się zdarzało – w innych może być ona kontynuowana. Opisywana perspektywa wymaga zaakceptowania również faktu, że w niektórych istotnych sprawach ogół państw Europy Środkowo-Wschodniej ma rozbieżne interesy. Przykładowo, elity estońskie nie są przesadnie zainteresowane tym, co dzieje się w Chorwacji, a elity rumuńskie bolączkami Czech – nie ma w tym nic zadziwiającego, ani nawet nie musi to być problemem. Im szybciej się z tym pogodzimy, tym więcej sobie oszczędzimy rozczarowań w przyszłości. Polska nie powinna próbować narzucać swojej woli sąsiadom tam, gdzie jest to wbrew ich żywotnym interesom – nie tylko dlatego, że na ogół nie ma ku temu środków, ale przede wszystkim dlatego, że każdy kraj troszczy się w pierwszej kolejności o własny byt. Należy porzucić nadzieje, że któreś państwo zacznie modyfikować swoją politykę zagraniczną dlatego, że zdaniem Warszawy współpraca energetyczna z Moskwą jest niemoralna. To jednak nie przekreśla wspólnych perspektyw na innych polach. Przykładowo, to, że Czechów do tej pory nie interesowało pogłębianie współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza, nie oznacza, że ochłodzeniu mają ulec nasze stosunki z nimi w ramach preferowanej przez Pragę współpracy wyszehradzkiej. Na tej samej zasadzie nie powinniśmy uznawać, że odmienne spojrzenie Węgier na wojnę na Ukrainie zmniejsza perspektywy naszej współpracy na innych polach. W ramach Grupy Wyszehradzkiej, a szczególnie właśnie dzięki bliskości relacji z Budapesztem, Warszawie udało się osiągnąć na polu unijnym całkiem sporo. Nie ma racjonalnych przesłanek, by z tej formuły realizacji polskich interesów rezygnować, musimy natomiast uszanować fakt, że Węgrzy na swoje interesy w konflikcie rosyjsko-ukraińskim patrzą inaczej niż my.

Podstawą różnych formatów współpracy środkowoeuropejskiej, jeśli ta ma mieć przed sobą widoki na przyszłość, może być jedynie wspólnota interesów państw w tych konkretnych formatach uczestniczących. Co więcej, wyjąwszy rozważania nad krystalizującymi się dopiero polami współpracy, w których będzie uczestniczyć Ukraina, większości z dotychczas istniejących formatów nie należy postrzegać jako ukierunkowanych na działania przeciw konkretnemu państwu – niezależnie, czy będą to Rosja, czy Niemcy. Dla przykładu – blisko współpracująca z Polską w ramach Inicjatywy Trójmorza Rumunia ma

zupełnie inne, cieplejsze wobec zamiarów Berlina zapatrywania na jego udział w tym formacie. Próby pogłębienia niemieckiej ingerencji, za którymi stał rumuński prezydent Klaus Iohannis, były na razie chłodzone przez premiera Morawieckiego. Z naszej perspektywy należy temu dalej przeciwdziałać, co jednak przecież nie musi wpływać na generalny stan kooperacji polsko-rumuńskiej.

Punkt wyjścia: państwo narodowe

Najistotniejsze jednak we współczesnym rozumieniu idei Międzymorza – jeśli traktować ją jako realną drogę realizacji polskich interesów – jest jeszcze coś innego. Współpraca krajów Europy Środkowo-Wschodniej oparta musi być na zasadzie suwerennych państw narodowych – nie na rojeniach o czynieniu z Polski państwa wielonarodowego czy znoszeniu granic pomiędzy krajami. Brak zrozumienia tej potrzeby najbardziej widoczny jest na płaszczyźnie stosunków polsko-ukraińskich – i to nad nią zatrzymajmy się na dłużej.

Sama walka Ukrainy z najeźdźcą dowodzi tego, że nacjonalizm ma przyszłość. Ukraińcy bronią swojej ojczyzny, a nie szerszych konstruktów, takich jak integracja europejska, nawet jeśli mit tej ostatniej stanowi dla ich trudów istotne tło. Prawdziwym podłożem dla ukraińskiego oporu jest dążenie do suwerenności – zarówno politycznej, jak i kulturowej – od Rosji, uznawanej za historycznego ciemiężcę, który znów wszedł na drogę znaną od stuleci. Oczywiście moglibyśmy tu nie bez racji podnosić, że Unia Europejska również ogranicza suwerenność państw narodowych – tyle że z perspektywy Ukraińców byłoby to zagrożenie bardzo mgliste. Dziś mierzą się oni z egzystencjalnym wrogiem, w ich oczach prawomocności nabiera snuta przez środowiska narodowe różnych odcieni (do niedawna bynajmniej nie hegemoniczna) narracja o zagrożeniach dla narodowego bytu, jakie niosą ze sobą wpływy Rosji. Walka Ukraińców ma wymiar *stricte* nacjonalistyczny, choć znamionuje ją jednoczesne przywiązanie również do symboli i haseł, które nam w Polsce z nacjonalizmem bynajmniej się nie kojarzą. Na naszych oczach wieńczony jest proces krystalizowania się nowoczesnego narodu ukraińskiego, który poczuł się bytem odrębnym od związków z „wielkim bratem".

CZYTAJ TAKŻE: Szansa na historyczny reset w relacjach polsko-ukraińskich?

Ma ten korzystny dla nas proces swoje drugie dno – na pierwszy rzut oka mniej optymistycznie się dla nas przedstawiające: nie zrobimy bowiem z Ukraińców ludzi, którym tę przeżytą formułę można w umysłach wymienić na schemat „rzeczpospolitański". Polska nie zastąpi Ukraińcom Rosji w roli starszego brata, nie będzie też żadnej – cóż za absurdalny pomysł – unii polsko-ukraińskiej, o jakiej rojąco poniektórzy nasi centroprawicowcy. Sięgając do rdzenia idei nowoczesnego narodu, będącej ukoronowaniem wieków rozwoju wspólnotowości w warunkach naszej cywilizacji, uznać należy, że pomysły tego typu nie uwzględniają podstawowego faktu: dojrzała, świadoma wspólnota narodowa nie zamierza dzielić swojej państwowości z inną – państwo narodowe stanowi bowiem organizację polityczną konkretnego narodu, wyraz jego aspiracji i narzędzie realizacji interesów właśnie jego, a nie innych wspólnot.

> **Publicyści traktujący narody jako konstrukty, którymi można żonglować, próbować wmawiać im, że państwo narodowe nie jest najdoskonalszą dostępną dla nich formą autonomii politycznej, a czymś, co można wymienić na inne, wykazują się naiwnością. Nie rozumieją najistotniejszych procesów, które zaszły w Europie w ciągu ostatnich 200 lat. Sprawę trzeba stawiać jasno: zbliżenie z Ukraińcami, pogłębiona współpraca suwerennych państw,**

> **odwołania do wspólnej historii i więzów kultury – tak; utopijne, pomijające narodowe pryncypia dywagacje – nie.**

Wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce

Co więc zrobić z liczną mniejszością ukraińską, która znalazła się na terytoriach RP w związku z rosyjską agresją? Mało kto ma wątpliwości, że uciekającym przed wojną należało pomóc. Poza jednak wymiarem chrześcijańskim i humanitarnym istnieją jeszcze interesy narodowe. Problem wydaje się w tym zakresie złożony. Zmiana struktury etnicznej społeczeństwa stanowi duże wyzwanie – szkoda chyba czasu, by opisywać smutne konsekwencje sporów etnicznych w licznych krajach mieszanych narodowościowo. Państwo jednolite etnicznie stanowi wartość samą w sobie – to, że dziś w ogóle dyskutujemy nad tym, czy aktualny stan należy zmieniać, wydaje się źle świadczyć o naszym instynkcie samozachowawczym. Faktem jest jednak również to, że nie wiemy, jaka będzie skala trwałego osadnictwa Ukraińców w Polsce. Jest istotna różnica, czy docelowo będzie ich tu 4 czy 9%. Co istotne, jesteśmy dziś w stanie kształtować swoje silne propolskie lobby wśród Ukraińców – właśnie dostaliśmy do ręki najlepsze możliwe narzędzia.

Liczą się przede wszystkim interesy – wojna zapewne uświadomiła Ukraińcom, że łączy ich z nami więcej, niż myśleli. Generalnie panuje zgoda, że mocne zbliżenie Polski i Ukrainy stanowi istotny kapitał, z którego można w przyszłości wyciągnąć korzyści. Ano właśnie – można. Można albo to spożytkować, albo zmarnować. Nie da się jednocześnie budować polsko-ukraińskich dobrych stosunków opartych na bliskości interesów i pewnych odwołaniach tożsamościowych, szczując jednocześnie – nieraz przy byle okazji – na Ukraińców mieszkających w Polsce. Inspirujący jest tu przykład mniejszości żydowskiej przed 1939 r. Rozważając okres międzywojenny, należałoby się zastanowić, czy antagonizowanie ich z Polakami przyniosło tym ostatnim więcej dobrego czy złego. Polsce – a nie samemu ruchowi narodowemu, bazującemu na określonych nastrojach społecznych. Z pewnością temu ostatniemu granie na tendencjach antyżydowskich dawało wymierne korzyści polityczne, ale czy z perspektywy narodu i państwa było to opłacalne? Czy nie lepiej byłoby kształtować przynajmniej niektóre sfery, jakże przecież zróżnicowanej, mniejszości żydowskiej w duchu propolskim, duchu lojalności wobec państwa i choćby częściowej asymilacji? Nie jest przecież prawdą stereotyp, bazujący na utożsamieniu ogółu polskich Żydów z litwakami, że wszyscy oni kipieli nienawiścią do tego, co polskie. Są to pytania, na które z oczywistych przyczyn odpowiedzi nie znamy – na pewno jednak warto je dziś znów postawić. W pewnym bowiem sensie nabierają one obecnie aktualności, tym razem w kontekście mniejszości ukraińskiej.

Jak zauważono, docelowo korzystne dla nas będzie, jeśli większość uchodźców na Ukrainę wróci. Z drugiej jednak strony, nawet pozostanie tu np. ¼ z nich oznaczać będzie istotne wzmocnienie ukraińskiego żywiołu w Polsce. Jedynie na pierwszy rzut oka stoimy przed zero-jedynkowym wyborem: czy mieszkających tu Ukraińców z Polakami antagonizować czy też roić o wielonarodowym państwie, gdzie obie nacje są w równym stopniu gospodarzami. Istnieje bowiem całe spektrum szarości pomiędzy obiema opcjami.

CZYTAJ TAKŻE: Czy chcemy polskiego multi-kulti? Zwodniczy mit I RP

Biorąc pod uwagę aktualną siłę ukraińskiej tożsamości, trudno myśleć o prostej do przeprowadzenia polonizacji Ukraińców. Być może będzie to realne w niektórych przypadkach np. w ciągu dwóch pokoleń. W

takich długoterminowych kategoriach zresztą powinniśmy chyba myśleć. Jeśli ów proces ma postępować, ważne jest to, że umożliwi go nie nagłaśnianie sporów między oboma narodami, ale ich zbliżanie, szukanie tego, co łączy. Nikt nie przyjmuje miejscowej tożsamości, gdy autochtoni atakują go za to, kim jest.

Wyzyskanie istnienia tu mniejszości ukraińskiej nie musi jednak łączyć się wyłącznie z jej polonizacją. Jak wspomniano, wiele korzyści może przynieść wzmacnianie wśród Ukraińców obrazu Polski jako kraju zarówno przyjaznego im na poziomie międzyludzkim, mającego historycznie wiele z Ukrainą wspólnego, jak i partnera i sojusznika w obecnej sytuacji politycznej.

> **Ukraińcom należy zaszczepiać mit o polsko-ukraińskim braterstwie, tworzyć – z myślą o kolejnych dekadach – przyszłe lobby propolskie, które stanowić będzie swego rodzaju pomost pomiędzy oboma narodami. To jednak nie wymaga kapitulacji – dawania im więcej, niż sami oczekują. Nie wymaga dawania przywilejów, których nie mają sami Polacy, tworzenia klas ukraińskojęzycznych itd. Polska powinna zachowywać się godnie – jak normalne państwo, a nie ustami swoich prominentnych urzędników deklarować, że „służy" narodowi ukraińskiemu. Wystarczy się nie poniżać – jasno komunikować, co na polskiej ziemi jest dopuszczalne, a co nie. Być może z tym właśnie, jako Polacy, mamy największy problem. Albo robimy z Ukraińców krwiożerczych banderowców, albo stawiamy ich interesy ponad naszymi – a tu zachodzi paląca potrzeba poszukiwania trzeciej drogi.**

Postawmy więc tezę, że w interesie Polski jest to, by zarówno ci Ukraińcy, którzy w naszym kraju zostaną, jak i ci, którzy wrócą po wojnie do siebie, byli na tyle, na ile się da – propolscy. Jednocześnie nie należy mieć złudzeń, że relacje polsko-ukraińskie staną się sielankowe. Oczywiście już teraz znajdą się ludzie, którzy każdy przejaw odbiegania od wyidealizowanego obrazu obecnego w mediach będą interpretować jako świadectwo zdradzieckości i złych intencji Ukraińców. Od głosów jurorów w trakcie Eurowizji po dziwienie się, że podczas wojny z Rosją nie zanika kult UPA albo że na Cmentarzu Orląt polskie lwy odsłonięto zbyt późno. Wszystkiemu temu towarzyszyć będzie dowodzenie, że „to nie tak miało być". Będziemy wciąż słyszeć tłumaczenie, że polityka międzynarodowa opiera się na sile i słabości, a nie sentymentach – ale już Ukraińcom będzie stawiany wymóg, by ci kierowali się właśnie sentymentami. Problem polega na tym, że wielu z nas, narodowców czy szerzej ludzi prawicy, zwyczajnie nie potrafi rozpoznać uwidaczniających się, mających doniosłe znaczenie tendencji – nie mówiąc już o myśleniu, jak te tendencje dla naszej sprawy wykorzystać. Często nie umiemy „widzieć kształtu rzeczy w ich sensie istotnym" – zamiast tego wolimy utyskiwać na sprawy poboczne, drugorzędne, myląc z nimi pryncypia. Nie tego od potencjalnej elity narodowej Polska wymaga.

Postawmy kluczowe pytanie: czy mamy patrzeć na nasze interesy w regionie wyłącznie przez pryzmat małego, wsobnego państwa, takiego jak Węgry czy Czechy, czy jednak geografia, potencjał ludnościowy i siła ekonomiczna predestynują nas do prowadzenia śmielszej polityki? Jeśli chcemy (choćby nieformalnie) przewodzić Europie Środkowo-Wschodniej, nasze horyzonty w sprawie zagadnienia mniejszości ukraińskiej w Polsce być może wykraczać muszą nieco ponad perspektywę wąskiego etnocentryzmu, uwzględniając korzyści, które może przynieść naszemu narodowi pogłębianie bliskości z Ukraińcami.

Wciąż nie zmienia to jednak *clou* problemu – wszystko, co powyżej zaproponowano, musi dokonywać się na gruncie zdrowego nacjonalizmu praktykowanego przez obie strony: Polacy mają swoją ojczyznę, swoje państwo narodowe, na którego terenie Ukraińcy są jedynie gośćmi, a zbliżenie polsko-ukraińskie (zarówno na poziomie państwowym, jak i społecznym) odbywać się ma z poszanowaniem tych zasad, a nie poprzez faworyzację Ukraińców. Jest tak również dlatego, że bez wątpienia dla samych Ukraińców to ich państwo i ich naród zawsze będą priorytetem.

Miękka siła

Bodaj największym – obok samej tragedii ludności Ukrainy – nieszczęściem obecnej sytuacji jest to, że rosyjska agresja drastycznie ogranicza Polsce możliwości prowadzenia polityki wielowektorowej. Wobec tak jawnych przejawów moskiewskiego imperializmu trudno np. będzie w najbliższych latach balansować pomiędzy USA a Chinami.

Nierealne wydają się koncepcje odcięcia polskości od cywilizacji zachodniej, jednak wobec degrengolady jej współczesnej formy należy szukać dróg zdystansowania się od niej. Nie widać innej opcji niż poszukiwanie alternatywnych wobec demoliberalnej form wewnątrz cywilizacji europejskiej poprzez odwołanie się do tych jej źródeł, które nie niosą ze sobą ładunku destrukcyjnego. Europa bowiem – wbrew temu, co dziś słyszymy – to nie tylko wartości liberalne. Znajdziemy przecież w jej szerokim dziedzictwie również takie wątki, które stoją w opozycji do liberalizmu.

Wydaje się, że potencjał tkwi właśnie w żywotności narodów Europy Środkowo-Wschodniej, stosunkowo jeszcze mało skorodowanych przez postmodernizm i obyczajowy permisywizm. Ów fakt może stać się dodatkową siłą je zbliżającą. Poza bowiem niektórymi wspólnymi interesami narody regionu łączy wspólnota części doświadczeń historycznych, ale i swoisty konserwatyzm kulturowy. Wciąż żywe jest tu przywiązanie do kategorii narodowych, do tradycji, często też bardziej niż na Zachodzie – do religii.

Co prawda wspólnota tej tożsamości bywa wątła, to jednak pewne poczucie wspólnego losu przynajmniej w niektórych z tych narodów istnieje. Pomijając najbardziej oczywisty przykład odwołań do dawnej Rzeczpospolitej, którym jednak nie mogą być zainteresowane kraje leżące na południe od Karpat, można znaleźć takie wątki. Czasem mowa tu o poczuciu młodszości cywilizacyjnej względem Zachodu, czasem o wspólnych doświadczeniach epoki komunizmu i wcześniejszych wieków zniewolenia przez wielkie mocarstwa, czasem rolę odgrywają wspólne słowiańskie korzenie. Należy więc wzmacniać owe więzy tożsamościowe łączące mieszkańców naszego regionu – może to jedynie działać na naszą korzyść.

Dziejowa szansa

Dotychczasowy przebieg rosyjskiej agresji dowiódł jeszcze jednego: znaczenia geografii w życiu narodów. Zwolennicy perspektywy geopolitycznej mieli w toczonym w ostatnich latach głośnym sporze dużo racji – widać to zresztą nie tylko w krótkiej perspektywie. Rozgrywająca się dziś w Donbasie wielka bitwa może być kiedyś postrzegana jako jeden z punktów zwrotnych obecnej epoki – być może początek końca rosyjskiego projektu imperialnego. Jest coś symbolicznego w fakcie, że losy naszego regionu znów rozgrywają się na czarnomorskim stepie. Dość wspomnieć, że pole bitwy nad Kałką z 1223 r., od której Mongołowie rozpoczęli mający swoje konsekwencje do dziś podbój Rusi, leży zaledwie kilkanaście kilometrów na północ od Mariupola. Nie tak daleko stąd płynie Worskla, gdzie niespełna dwa wieki później w gruzach legły marzenia Litwinów księcia Witolda o złamaniu Moskwy. Blisko również do Połtawy, pod którą

w 1709 r. rodzące się rosyjskie imperium pogrzebało nie tylko względną niezależność kozackiej Hetmańszczyzny, lecz także podmiotowość Rzeczpospolitej...

Tragizmowi obecnej sytuacji towarzyszą pewne nadzieje. Rola Polski w Europie rośnie – i ma perspektywy dalszego wzrostu. Nieuwzględniającym realiów sloganom o budowie wielonarodowej Rzeczpospolitej czy unii polsko-ukraińskiej przeciwstawić należy wynikłe z polskich interesów postulaty zacieśniania współpracy suwerennych państw narodowych Europy Środkowo-Wschodniej, z Ukrainą włącznie. Testament Hadziacza – jeśli ma nam dziś służyć jako punkt odniesienia – musi być należycie rozumiany. Uznając się bowiem za reprezentację narodu ruskiego, Kozacy zadeklarowali chęć wejścia w związek polityczny z Polską jako odrębny podmiot, mający autonomię polityczną na terenie swojego księstwa oraz swoje prawa. Jeśli miejsce ugody perajasławskiej ma zająć nowa unia hadziacka – jej założenia muszą być oparte nie na mrzonkach, ale na zdrowych, realistycznych podstawach. Współpraca państw Międzymorza musi bowiem wypływać z realnych potrzeb zamieszkujących je narodów – a realizacja własnego interesu narodowego zawsze jest wśród takich potrzeb najważniejsza.

Na tekst składają się fragmenty artykułu „Powrót Międzymorza", który ukaże się na łamach 26. numeru „Polityki Narodowej", w lipcu br.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/miedzymorze-tak-ale/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć